Rok III.

Nr. 2. Nr. 2.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 11 stycznia 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O poezji polskiéj XIXgo wieku

napisał

Dr. Adam Bełcikowski.

(Ciąg dalszy.)

Serca podówczas, po téj racjonalnéj poezji XVIII wieku, po filozofji materjalistycznéj w tymże czasie panującéj, po téj poezji manierowanéj, formułkowatéj początków naszego stulecia i po braku wszelkiéj filozofji w początkach tego stulecia, dosyć były wychłodłe. Głębszego, silniejszego uczucia nie znać w poezji tych czasów. Miłość przez nią opiewana jest albo galanterją, mającą pokryć dla przyzwoitości zmysłowe pragnienia, albo też ckliwą sentymentalnością. Pod obiema temi formami ukrywa się jedno i toż samo: próżnia serca. Pieśń Karpińskiego: „Już miesiąc zaszedł" i t. d. była najwyższym szczytem uczuciowości, dla tego też wszystkie dusze, które z natury zachowały jéj iskrę, nuciły tę pieśń z rozrzewnieniem przy monotonnych dźwiękach gitary.

Takiż sam chłód był w rzeczach wiary. Nie chcemy powiedzieć, aby ówczesny ogół był bezbożny i niereligijny. Owszém wiara, i to ta zwykła, u powszednich umysłów najlepiéj prosperująca, była jak jest i dzisiaj i od wieków już w Polsce. Ale nie miały jéj umysły wyższe, to, co stało na świeczniku literatury i naukowości ignorowało wszelką wiarę gorętszą, podnoszącą duszę nad poziom. Nie było w nich więcéj wiary jak tyle, ile potrzeba, aby się dostać do królestwa niebieskiego. Brakowało zaś téj wiary, która na ziemi stwarza cuda i podnieca człowieka do niezwykłych czynów. Sceptycyzm przeszłowieczny, mający w swoim czasie rację bytu, w stuleciu naszém stał się obojętnością. Świat nadnaturalny, świat ducha zupełnie był obcym dla ówczesnéj poezji, bynajmniéj ona się tam nie zapuszczała. Te głębiny były dla niéj wstrętne i obu-rzała się na nie wszędzie, gdzie je tylko spostrzegła. Ztąd pomiędzy innemi czuła także odrazę do poezji ludowéj, mieszającéj zwykle oba światy ze sobą, i lubiącéj po za zmysłowemi formami świata domyślać się jakichś istot duchowych i niewidzialnych. „Jest więcéj rzeczy na ziemi i niebie niż o tém śniło się naszéj filozofji" — mówi Hamlet, ale poezja pseudoklasyczna nie chciała nic słyszeć ani o filozofji, ani o rzeczach po za nią będących.

Mickiewicz wystąpił do walki przeciw chłodnéj, bezduchowéj klasycznéj poezji w imieniu serca i ducha, aby im przywrócić przynależne prawa. Taki jest główny charakter pierwszych jego utworów: Ballad i romansów, jako też czwartéj części Dziadów.

Ballady wprowadzają nas w świat wierzeń ludowych. W tym świecie pełno jest cudowności i nadnaturalności; ani jednéj ani drugiéj nie można poznać i dopatrzeć się rozumem, chcąc je zobaczyć, trzeba dla nich otworzyć swoje serce. Dzieją się tam rzeczy wykraczające za granice praw przepisanych przyrodzie, a dzieją się jedynie mocą uczucia i wiary.

Łatwo zrozumieć, że umysł polski w podobnéj poezji mógł znaleść jeszcze coś więcéj, a nie samą tylko naiwność gminną, wierzącą w cuda. Ta poezja uczyła go także sięgać po rzeczy na pozór niepodobne do osiągnięcia, których spełnienie nie zgadzało się z chłodnym i rozważającym wszystkie okoliczności rozsądkiem — powiadała, że byle chciał i mocno pragnął może zwyciężyć to, co się zdaje być przeszkodą nieprzebytą i siłą fizyczną nie do zwalczenia. Wyższość ducha nad materją była już w Balladach stanowczo wypowiedzianą,

i w tym duchu kazał poeta szukać broni przeciwko materjalnéj potędze.

Obok Ballad w najpierwszych utworach Mickiewicza znajdowały się drobne wiersze, w których poeta osobiste uczucia i miłosne swoje cierpienia wypowiedział. Takim językiem, jakiego tu Mickiewicz użył, zwykle w naszéj poezji nie spowiadano się z uczucia. W dawniejszéj literaturze jeden tylko A. Morsztyn, poeta z wieku XVII, podobnemi odzywał się tony. Te wiersze jego jednak były nieznane aż do najnowszych czasów. Mickiewicz tutaj zstąpił do samych głębin uczucia. Jego miłość nie jest sielanką, galanterją ani sztucznym platonizmem — jest to namiętność wzruszająca całą duszą i biorąca ją pod swoją władzę. Nic téż dziwnego, że dźwięk jego pieśni oczarował całe ówczesne młode pokolenie i zatarł w jego pamięci wszystkich dawniejszych nawet najsentymentalniejszych śpiewaków. Pomimo całéj przewrotności świata i fałszu szeroko po nim rozpostartego, natura ludzka uczuwa cześć dla prawdy i lgnie do niéj mimowoli. W uczuciach Mickiewicza była prawda, i dla tego schwyciła wszystkich za serce.

Nie była to jednak rzecz tak mała, jakby się może komu na pozór zdawało, ta okoliczność, że Mickiewicz stworzył nowe krainy miłości. Związek mężczyzny i kobiéty ma wielkie zadanie i znaczenie w naturze, a tém samém i w społeczeństwie — na tym związku, można powiedzieć, osadzone są fundamentalne węzły towarzystwa ludzkiego. W dziedzinie sztuki i poezji miłość dwojga ludzi odgrywa bardzo często najważniejszą rolę. Nadać więc temu uczuciu kierunek prawdziwy, uszlachetnić je, otoczyć blaskiem idealności, znaczyło tyle, co wlać w społeczeństwo i poezję tyleż podnioślejszych myśli i uczuć i uduchownić je. Stosunek kobiéty do mężczyzny daje, jak wiadomo, do pewnego stopnia miarę cywilizacji narodów, nie popełnimy przeto przesady, jeśli powiemy, że wszelki postęp na téj drodze jest także postępem narodowego wykształcenia.

Najwznioślejszym a zarazem najradykalniejszym wyrazem tego uczucia jest czwarta część Dziadów. Wiele miał racji Mochnacki mówiąc, że od czasów Romea i Julji nikt nie wyśpiewał piękniejszéj pieśni o miłości. Najwymowniejszym w téj pieśni jest kontrast otaczającego świata do uczucia, walka konwencjonalności z miłością. Rozsądek i zwyczaje społeczne pozornie biorą nad nią górę — ale walka tu skończona, ciągnie się daléj w sferach idealnych, i tam uczucie odnosi stanowcze zwycięztwo. Namiętność w nieszczęśliwym bohaterze tego poematu dochodzi do marzycielstwa, i to właśnie sprawę uczucia ratuje. Wymarzył on sobie idealny związek nie dwóch osób, ale dwóch dusz — związek, którego rozerwać nie zdoła nietylko śmierć, ale nawet śluby małżeńskie przez jedną z tych osób z innym człowiekiem zawarte. Gustaw, który stracił Marylę na ziemi, spodziewa się odzyskać ją w niebie, a co więcéj, mimo jéj wiarołomstwa, nie przestaje jéj kochać. Jest to w istocie apoteoza miłości i tryumf miłości w sferach abstrakcyjnych, o jakim rzadko który poeta pomyślał — i znowu taż sama wyższość ducha nad wszelkiemi warunkami fizycznego świata.

Powiadają, i bardzo łatwo temu wierzyć, że przykład Gustawa stworzył bardzo wiele bladych kopji, w których było wszystko: cierpienia, rozpacz, narzekania, oprócz tego jednego, że w sercu nic nie było. Zalety wielkich ludzi często u ich naśladowców przemieniają się w tyleż wad i śmieszności. Z tém wszystkiém nie zmniejsza to wartości i znaczenia poezji Dziadów — jeśli ona choć w tysiącznéj jednostce oczyściła namiętność i jéj uczuciu dodała choć jeden światlejszy promyk. W każdym razie przyznać należy, że ona musiała się przyczynić do zaszczepienia w umysłach pewnego idealizmu, bez którego nigdzie nie ma ani nie było cywilizacji.

Wreszcie pomiędzy pierwszemi utworami litewskiego wieszcza mamy także Grażynę — poemat będący w dziwnéj harmonji z resztą płodów z pierwszéj jego epoki. Nie będę się zastanawiał nad jego wartością artystyczną i literacką — wystarczy powiedzieć, że był on stokroć lepszą epiczną pracą od wszystkich robót tego rodzaju naszych pseudoklasyków, tak wiele rozprawiających o epopei i mających zawsze na ustach Homera i Wirgiljusza. Główną uwagę musimy tu zwrócić na ideę tego poematu, którą jest: poświęcenie. Nie bez téj logicznéj konieczności, która, często mimo nawet ich wiedzy, kieruje ludźmi, za wyobraziciela téj cnoty obrał poeta kobiétę — t. j. tę właśnie połowę rodu ludzkiego, w któréj według praw natury nad wszystkiemi władzami duszy góruje uczucie.

Cały naród z małemi wyjątkami uznał w Mickiewiczu, zaraz za pierwszém pojawieniem się, narodowego wieszcza. Wpływ jego był ogromny, niewidziany w dziejach polskiéj poezji. Zapalił on serca, podniósł myśli i zawładnął nad niemi. Odtąd przez długi czas miał téż nad niemi panować.

W Polsce podówczas zanosiło się na wielkie rzeczy. Robiono sprzysiężenia i spiski, zawiązywano tajemne towarzystwa, jedném słowem przez lat kilkanaście przygotowywano wybuch powstania. W czasie najważniejszym, ostatnie kilka lat przed 29 listopada, Mickiewicz przepędzał na obcéj ziemi, w Rosji, dokąd go jako podejrzanego o patrjotyczne dążności wywieziono, nie długo po wydaniu na świat pierwszych utworów. Zdawało się, że związek między poetą a krajem został zerwany. Tak jednakże nie było. Ta nić duchowéj spólności, którą Mickiewicz nawiązał wcześnie w swém sercu, rozciągnęła się, ale nie pękła. Poeta nienależący w niczém do ówczesnych prac politycznych, w duchu swoim zajęty był tąż samą myślą, która cały kraj owładnęła. Idee polityczne, zamiary, w najbliższéj przyszłości mające się spełnić, zajmowały żywo jego wyobraźnię i serce — aż wreszcie znalazły dla siebie wyraz w kreacjach poetycznych. On, który pierwszy rozgrzał uczucie w narodzie i rozkołysał idealnemi obrazami jego wyobraźnię, powinien był także stworzyć mu ideały jego patrjotycznych pragnień.

Za pierwszy polityczny poemat Mickiewicza, zdaje mi się, można uważać Odę do młodości. Był to program przyszłości w najogólniejszych zarysach. Istniejący porządek trzeba było zburzyć, bo nie było w nim ani wolności, ani światła, ani miłości — tylko niewola, ciemnota i nienawiść. Tę rolę pchnięcia ludzkości na nowe tory poeta przeznaczał dla młodości, uważając tém samém rozsądek i doświadczenie za rzeczy przy tém przeobrażeniu niepotrzebne a nawet zawadzające. Wiadomą jest rzeczą, ile zarzutów i skarg posypało się z téj przyczyny na niego. Byli ludzie, których Oda do młodości przyprawiała o wściekłość, i kiedy poeta już umarł, ci ludzie także już nad grobem stojący, nie mogli mu jéj zapomnieć i rzucali na jego mogiłę obelgami. Na ten zarzut, że zwykle ludzie młodzi w obronie owéj sławnéj Ody stają, możnaby im także odpowiedzieć, że i ich wyrok nie jest bezstronny, bo go wydają kiedy są już starymi. Ale po co ten spór niepotrzebny! prawda leży w istocie rzeczy, a poeta posłuchał tylko natchnienia natury. Czyż można żądać od jesieni, ażeby się przystroiła w kwiaty wiosny, albo od zimy, aby wydawała owoce lata? Jeżeli przypuścimy potrzebę zmiany i postępu w świecie, musimy to zadanie zostawić młodości, bo starość pewnie go się nie podejmie. Chyba, że postęp nie ma istnieć w świecie... wtenczas podrzyjmy księgę dziejów i zaprzyjmy się naszéj cywilizacji.

Uczucie narodowe nie polemizowało jednakże

w ten sposób z poetą, ale przyjęło jego słowa sercem, tak jak one z serca powstały.

„Witaj jutrzenko swobody,
Za tobą zbawienia słońce!“

Oto sens moralny, jaki znaleziono w Odzie do młodości, a który odpowiadał tak dobrze ówczesnym pragnieniom i nadziejom. Uczuciem odgadnięto, że w formie wzniosłéj, pełnéj ognia i zapału Ody, poeta wyśpiewał pieśń rewolucyjną — a czy ta rewolucja miała się udać czy nie, czy miała wyswobodzić kraj, czy też poddać go w większy jeszcze ucisk, tego wówczas nie badano, nie zastanawiano się nad tém, a tym bardziéj nie wymagano, aby się nad tém zastanawiała poezja. Gdyby to było zadaniem poezji, natenczas musiałaby się wyrzec właściwych sobie i daleko szczytniejszych przymiotów. Jéj przeznaczeniem jest: widzieć bezwzględną prawdę, stwarzać ideały — winą zaś to jest innych ludzi nie poetów, jeśli świat dalekim jest od prawdy, jeśli na nim nie ma ideałów.

III.

Konrad Wallenrod, napisany w czasie przymusowego pobytu Mickiewicza w Rosji (r. 1827 był już gotowy w rękopisie), jako utwór sztuki i przez wpływ jaki wywarł na swój czas, większe jeszcze ma znaczenie. Epoka spisków i tajnych towarzystw znalazła w nim swoje wyobrażenie. Ze strony psychicznéj badając jego genezę, jest on także wynikiem ówczesnego stanu moralnego i zewnętrznego położenia, w jakiém był poeta. Mickiewicz sam zalicza ten czas do najszczęśliwszych chwil swego życia. Pobyt w Moskwie i Petersburgu był dla niego czasem owacji i tryumfów, jakich nigdy w kraju będąc nie doznawał. Uwielbiany przez świat wyższy w obu stolicach, zapraszany do arystokratycznych salonów, przyjęty mile i zaszczytnie przez najpierwszych poetów i literatów rosyjskich, pędził życie swobodne i pełne rozmaitości. Do tego trzeba wiedzieć, że młodzieńcze burze, wichrzące w jego piersi, ucichły. Jeszcze więzienie u Bazyljanów w Wilnie wyleczyło go ze smutków młodości i owéj melancholji, w jaką wtrąciła go nieszczęśliwa miłość, a po części także zapewne i owo romantyczne rozmarzenie ducha, niezadowolnione z istniejących stosunków i każdéj, jakąby ona była, rzeczywistości. Realne cierpienia, porównanie swoich osobistych nieszczęść z ogromem klęsk co chwila spadającym na cały naród, zmężniły umysł młodego marzyciela i dodały mu hartu. Od zatapiania się w bólach swego serca odwrócił oczy i spojrzał niemi po ojczyznie...

Taki więc zahartowany przybył już do Rosji. Ta okoliczność, że nie musiał codziennie patrzyć na cierpienia i prześladowania rodaków, że te bolesne obrazy usunięte zostały z przed jego zmysłowego wzroku, jakotéż, że osobiste stosunki były tak dla niego pomyślne — to wszystko mogło sprawić bardzo naturalnie, że poeta cieszył się swobodą umysłu, dotąd niedoznawaną. Ztąd powstały nawet na niego skargi o obojętność dla sprawy narodowéj, zapomnienie swego szczytnego powołania i t. p. Najszczersi przyjaciele Mickiewicza podobne wyrzuty czynili mu w swoich listach, pomiędzy innymi jeden z najdawniejszych towarzyszy J. Czeczot. Mickiewicz bronił się jednak przeciw podobnym przypuszczeniom, przyznając jedynie, że jego spokojność umysłu jest tylko indywidualną, że tylko od indywidualnych namiętności jest wolny, — i każąc się tym sposobem domyślać, że wszystko to, co zatruwa myśli jego przyjaciołom i rodakom, co wstrząsa gwałtownie ich sercem, w jego duszy zarówno ma siedlisko. Ale najlepszą obroną jest w téj mierze dzieło, które wówczas utworzył: Konrad Wallenrod.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZY MIESIĄCE.

Ze znalezionego rękopismu

wydał

Józef Narzymski.

(Ciąg dalszy.)

Ten pojedynek bez walki, ta loterja o życie, zrobiła na mnie pewne wrażenie. W jednéj sekundzie imaginacja moja przedstawiła mi chwilę ostatnią i wszystko to, co zostawiam za sobą... Matka i siostra... rój przyjaciół i przyjemności życia i świat tak piękny stanęły jak czarowny obraz... a po drugiéj stronie... otchłań bezdenna... ciemna... z któréj chłód wiał i... tajemnica... Młodość nie wierzy w śmierć. Nawet w czasie owéj burzy, choć rozsądek mi mówił, że ratunku nie ma, nie mogłem się przekonać, że pierś oddychać za chwilę przestanie, że za kilka minut skończone wszystko...

Po raz pierwszy wtedy, u Stępkowskiego, na myśl: „a nuż złą gałkę wyciągnę“, poczułem zimne, zagadkowe, tajemnicze uczucie skonu...

Nie czułem strachu i bojaźni, ale jakiś niepokój i rozdraźnienie nerwów... Kieliszek wina jednak i przybycie mych przyjaciół, potém śniadanie, rozpędziły to uczucie.

Pomogła też i wiara w me szczęście, którą Alfred ze zwykłym sobie taktem umiał rozbudzać. Nieoceniony ten człowiek spostrzegł od razu pewną zmianę we mnie, a ponieważ rzecz się stała, więc już tylko pozostawało mu dodawać mi sił i humoru.

Wkrótce też równowaga wróciła. Byłem jak zwykle, i sam uspokajałem Leona, który zdawał się bardzo zmartwiony.

Rozstaliśmy się słowami:

— Jutro o jedenastéj.

Nie powiem jednak, żeby reszta dnia przeszła mi jak należy... Jutrzejsza sprawa ciągle mi przychodziła do głowy... Operacja losowania... gałki... cylinder... majaczyły przedemną ciągle i w teatrze, i u baronowéj na herbacie i potém wśród snu... Gniewała mnie niepewność... irytowałem się, że odłożono rozstrzygnięcie do jutra.. chciałem wiedzieć coś stanowczego natychmiast.

W teatrze widziałem Wirskich. Ona była czarowniejsza jak zwykle, i na twarzy jéj śladu łez ani zmartwienia nie było. Gdy w czasie antraktu mąż lożę opuścił, zwróciła na mnie lornetkę i zdaje mi się, uśmiechnęła się, jakby robiąc aluzję do owéj wczorajszéj sceny...

A więc ona nic nie wie?... Piu!... Il est fort ce Monsieur Wirski!... Nie wybuchnąć... nie dać poznać. Nowy gatunek Otella!... morduje amantów, ale oczy i cerę Desdemony ochrania!... Podoba mi się ta manipulacja... Rzeczywiście, jestże logiczném katusze zaz-

drości zwiększać boleścią, jaką sprawiają cierpienia lub śmierć ukochanéj istoty!... Wirski więc jest zazdrosny logicznie. W drugim czy trzecim antrakcie czułem jego wzrok ciążący na mnie i zwróciłem się ku niemu... Rzeczywiście, cofnięty nieco za żonę, ale dość oświecony, żeby grę jego rysów ocenić było można, patrzał na mnie... Słusznie go orangutanem nazywają... to żyjący argument dla teorji Darwina. Z tą brodą rzadko zarosłą i wystającą naprzód... z temi zębami długiemi i żółtemi, nosem spłaszczonym i ostrzyżoną przy skórze głową, exemplarz to rzadki.

Patrzył się we mnie, obróconego tyłem do sceny, jak w tęczę... oczy mu błyszczały zielono jak u rysia, usta miał wpół otworzone, brodę na pięści opartą... Najprzód przyłożyłem lornetkę i przypatrywałem się téj twarzy... nie sądziłem, żeby w jednéj ludzkiéj fizjonomji tyle złości, krwiożerczości, nienawiści, a razem szyderstwa, radości dzikiéj mieścić się mogło... Często oblizywał sobie usta... Przysiągłbym, że przez imaginację krew moją pije...

Przez konieczną reakcję, krew się zaczęła we mnie burzyć, gdybyśmy się mieli bić w téj chwili, byłbym go zabił jak dzikie i szkodliwe zwierzę... Ten uśmiech szatański, ta radość, irytowały mnie. Odjąłem lornetę, i ile we mnie było pogardy, strzeliło ku niemu... Dwa te magnetyczne prądy walczyły ze sobą kilkanaście sekund... Późniéj on ustąpił i cofnął głowę w cień...

Dziwnie ucieszony byłem z tego zwycięztwa... brałem to za dobry znak na jutro...

Wkrótce ta nienawiść do Wirskiego przeszła... Ale brzydki bo brzydki... Nie dziwię się Julji, że drży i głowę traci, gdy on się zbliża... biedna kobiéta!... Ale po djabła poszła za niego!... Podobno ją zmuszono!...

Ten epizod jeszcze mnie oburzył więcéj... i pragnienie stanowczego końca przeradzało się w gorączkę.

Przyszła nareszcie godzina naznaczona, i wczoraj oto, odbył się ten dziwny pojedynek w mieszkaniu jednego z sekundantów Wirskiego... W czasie pisania protokółu i zobopólnych przyrzeczeń, obserwowałem go... Był spokojny, obojętny, czasem tylko, jakby niechcący, posyłał mi zabijające spojrzenia... Ja panowałem nad sobą... i nikt pewno wzruszenia nie dostrzegł... ale ponieważ chcę być szczerym, powiem, że gdym rękę zagłębił w tajemniczy cylinder, serce mi bić przestało... i musiałem być blady. Jako wyzwany ciągnąłem pierwszy i wyciągnąłem... śmierć.

Nie zemdlałem jednak, ani nawet zadrżałem. Kiedy podniósłem czarną gałkę do góry, głuche panowało milczenie... We mnie natomiast zaszła zmiana dziwna... Stało się... skończyła się niepewność... odetchnąłem... Sądzę, że twarz moja uspokojenie wyrażała tylko.

— A więc północ 12 czerwca jest ostatnim terminem... zapytałem, kładąc gałkę na stole i biorąc kapelusz...

— Tak panie — cicho szepnął jeden ze świadków Wirskiego.

Wirski stał naprzeciwko stołu, na którym jeszcze leżał kapelusz z którego ciągnąłem gałki... Patrzał na mnie złośliwie, prawie szyderczo.

— Pamiętaj pan o swojém słowie! — rzekłem głośno — ja swego dotrzymam...

Nie odpowiedział mi, tylko głowę skłonił, jakby z szyderczém uszanowaniem, i ja odpowiedzi nie czekałem. Alfred i Leon wyszli wraz ze mną.

Przed domem spostrzegłem ich twarze blade i ponure. Alfred gryzł wargi, Leonowi pot kroplami spływał.

— Szaleństwo się stało! — mruknął Alfred. — Tyś z nas zabójców zrobił Karólu...

— To mord — szepnął Leon.

— Na wszystko co święte, żadnych wyrzutów sobie, i nikomu ani słowa... tak być musiało... i pojechałem do domu...

Warszawa 17 marca.

Oto już piąty dzień nowego mego życia... Jestże to życiem? Nie... to jakaś dziwna egzystencja, któréj określić niepodobna... Jestem niby jak dawniéj, chodzę, jem, śpię... a jednak wszystko to na to tylko, żeby dać cel kuli, gdy chwila przyjdzie... To dziwne... Dla czego jednak stan ten tak mnie męczy?... Rozumujmy. Wszak każdy wié, że umrzeć musi... a więc pod tym względem żadna zmiana nie zaszła... Co więcéj, umrzeć można każdéj chwili... nie za trzy miesiące, ale dziś... jutro... natychmiast... Jednak ludzie żyją... robią plany, są szczęśliwi... dla czegóż ja?... Mam trzy miesiące!... Pokazuje się więc, że właśnie ta niewiadomość ostatniéj chwili... jest ożywczą myślą człowieka... To nielogicznie, bo nareszcie możnaby się daleko lepiéj urządzić, wiedząc jak długo żyć się będzie, a jednak tak jest... Na mnie dowód... Gdyby ludzie rodząc się przynosili na czole dzień i rok swéj śmierci, życie byłoby piekłem, a świat domem warjatów... Wszak mogłem dostać tyfusu czy holery, czy spaść z konia, każdego czasu skończyć mogłem... Czemuż nie myślał o tém?... Czemu wyraz: koniec nie majaczył ciągle przed oczyma memi, czemu na świat patrzyłem pogodnie i wesoło?... Czemu?... bom nie był pewny!... Niepewność to najwyższy dar boży... bo niepewność, to nadzieja, to marzenie, to ideał... A gdzie jak u mnie nadziei nie ma, tam Dante początek piekła zobaczył...

Rzeczywiście, nie przypuszczałem nigdy, żeby pewność śmierci w pewnym dniu i godzinie tak ciężką była i przygniatającą...

Sądzę zresztą, że to przejdzie... Do wszystkiego przyzwyczaić się można... Rozum zwycięży zwolna słabości... Człowiek rozsądku i charakteru powinien umieć spokojnie uledz żelaznéj konieczności... Ileż ludzi umiera codziennie... ilu ginie na wojnie... Mnie spotkał ten wypadek... cóż to nadzwyczajnego?... Inna forma... rzecz ta sama...

Szczęśliwy jestem, że matki nie ma chwilowo w Warszawie... nim wróci, odzyskam równowagę... Przecież powinienem pamiętać, że jestem człowiekiem... Drżeć na myśl śmierci... blednąć... hańba!...

Widziałem w Rzymie egzekucję nie zbrodniarza... Skazany, człowiek młody, szlachetny, spokojnie patrzał w lufy karabinów, i nie zbladł, nie drgnął, oka nie zmrużył... A przecież był pewny, że ginie... Nie dziwiłem mu się, bo czułem, że w jego położeniu byłbym takim jak on... Dla czegoż więc dziś?... Wszak tu i tam śmierć... tylko śmierć... nic innego tylko śmierć.. Jedyna różnica, że on stał parę minut, a ja... trzy miesiące!... Ale człowiek rzeczywiście odważny bez wysilenia, bez sztucznego spokoju, spoglądać powinien śmierci w oczy... zawsze i całe życie... a więc krócéj czy dłużéj... to prawie jedno... Tak!... trzeba się zwyciężyć!...

Warszawa 22 marca.

Czuję, że mimo całego wysilenia i baczności nie zupełnie panuję nad sobą... W teorji odniosłem niby zwycięztwo, ale rzeczywiście ta data fatalna stoi mi ciągle w mózgu, i widzę ją wszędzie... Co gorzéj, liczenie dni i godzin i minut pozostałych mi jeszcze zaczyna się u mnie w manję przeradzać... Z początku kilkadziesiąt razy na dzień brałem kalendarz w rękę i obliczałem... Dziś do takiéj już doszedłem wprawy, że spojrzawszy na zegarek, natychmiast mam cyfry gotowe... Czuję, że to śmieszne... dziecinne... a jednak c'est plus fort que moi... Gdy rozmawiam z kim,

przychodzi mi niewymuszona ochota wiedzieć, ile mam jeszcze czasu... walczę ze sobą... wstrzymuję się... nie ma rady... ręka drży, sama sięga po zegarek... i muszę chcąc nie chcąc rzucić okiem na chronometr... Walka, jaka się wtedy we mnie odbywa, musi mnie robić zaambarasowanym... to zaglądanie do zegarka ośmiesza mnie...

Wczoraj dwa razy go wydobyłem w ciągu półgodzinnéj rozmowy z panią Heleną...

— Spieszno panu? — rzekła — nie żenuj się pan...

— Komuż może być pilno gdy z panią rozmawia? — zaprotestowałem.

— I co chwila zagląda na zegarek!... Wolę już poczciwe i szczere ziewnięcie...

— Niech mi pani wierzy, że gdybym mógł, byłbym czas zatrzymał...

Ah! jakże to powiedziałem szczerze!...

— Oh! czyny więcéj znaczą jak słowa!... Znudziłam pana, przepraszam i obiecuję poprawę...

Prócz tego czuję, że humor mój nie równy... Często wpadam wśród ludzi w zamyślenie, a gdy się spostrzegę, lękam się by mnie kto nie odgadł, wstydzę się własnéj słabości i afektuję wesołość, która znów, jak każda rzecz afektowana, jest nienaturalną i samego mnie boli... Sądziłem, że od dziecka wychowany w salonach, nauczyłem się panować nad sobą... pokazuje się, że ciągła i monotonna choroba moralna zwycięża nawet polor...

Wszystko to razem każe mi unikać towarzystwa... a z drugiéj strony... lękam się samotności...

Warszawa 24 marca.

Otóż i dwunasty już dzień upływa... Dwanaście dni to nic i bardzo wiele... Zdaje mi się, że mignęły jak błyskawica, a jednak ileżem ja wycierpiał w tym czasie!... I żal mi ich i nie chciałbym wrócić do ich początku... Gdyby się to tak smutnie skończyć nie miało, stan mój nie byłby bez uroku... Inaczéj zupełnie patrzę na wszystko... czuję się już niejako wyłączonym z koła ludzi żywych... ich drobnostki, spory, walki, ta cała gra namiętności, która mnie tak zajmowała niedawno, dziś się wydaje prawie dziecinną... A jednak, rzecz dziwna, chciałbym być na ich miejscu... Wszystko mi się lepszém, piękniejszém wydaje... Widząc bawiących się ludzi, sam się nie bawię, ale zazdroszczę im... pojmuję ich... Nie!... można cykutę wypić z Sokratesowym spokojem, ale życie to rzecz piękna... Precz wstyd fałszywy!... mnie żal życia!... Oto tam, naprzeciwko mego okna stoi mały ulicznik... obdarty jest, zabłocony... może głodny... Cóżbym dał za to, żeby być nim!... On nie wie kiedy umrze... a więc żyje...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O wykładzie literatury polskiéj.

Rozprawa ś. p.

Wincentego Pola.

(Dalszy ciąg.)

Bibljografja jest wstępną umiejętnością, w kole tych studjów przygotowawczych do wykładu historji literatury polskiéj potrzebnych, najdawniéj téż rozpoczęły się prace na tém polu. Bibljografja obejmuje z obowiązku swojego cały materjał literatury; spis rękopisów i druków — jest to niejako inwentarz duchowego gospodarstwa narodu, jest to niejako hypoteka duchowéj własności jego, nabytéj w przeciągu wieków, i jako fidei comis od pokolenia do pokolenia w narodzie podana.

Już inwentarze starych bibljotek dały pierwszy materjał do utworzenia téj umiejętności i rozpatrzenia się w całym ogromie zasobów i skarbów całego narodu. Załuscy zrobili tu początek — a jeżeli księdzu Juszyńskiemu i innym pracującym na tém polu, brakowało potrzebnych wiadomości krytycznych, to o tyle było ich położenie szczęśliwszém, że bibljoteki polskie znajdowały się jeszcze wówczas w kraju, i że mieli pod ręką rękopisy i druki, które bibljograficznie opisują.

Rozwodzą u nas nieraz żale, że mamy potrzebę historji literatury polskiéj, a pracujący na tém polu dają nam tylko spisy bibljograficzne literatury — jest to to samo, jak chcieć mieć ryby bez połowu — a zwierzynę bez polowania. Bez bibljografji polskiéj, wypracowanéj według dzisiejszego stanowiska téj umiejętności, nie można mieć nawet wyobrażenia o literaturze polskiéj. — Jakož stanowią rzeczywiście na tém polu epokę prace i dzieła Czackiego, Ossolińskiego, Lelewela, Onacewicza i Daniłowicza, Bandtkiego, Bendkowskiego, Wiszniewskiego i Jochera, Maciejowskiego i Muczkowskiego, Helcla i Batowskiego, Wójcickiego i Bartoszewicza, tudzież tych wszystkich, co większe bibljoteki krajowe w przeciągu zeszłego wieku i w ciągu tego stulecia zbierali, spisując katalogi, lub podając do wiadomości publicznéj w dziełach, broszurach i rozprawach ważny materjał do bibljografji polskiéj.

„Bibljograficznych ksiąg dwoje“ Lelewela, stanowią epokę szeregu tych usiłowań i prac.

Od wyjścia tego dzieła rozjaśnia się horyzont bibljografji polskiéj — a od wyjścia historji literatury polskiéj Bendkowskiego, daje się coraz żywiéj uczuwać potrzeba tak dokładnéj bibljografji literatury polskiéj — jak saméjże historji literatury.

Jeżeli o niedostatkach dotychczasowych prac na tém polu mówimy, wypada tu wspomnieć o zaszczytnych usiłowaniach najnowszych na tém polu pracowników; prace takie monograficzne, jak jest historja profesora Mecherzyńskiego wymowy polskiéj, jak jest monografja nauk ścisłych, matematycznych, fizycznych i z niemi połączonych Dr. Teofila Żebrawskiego — jak jest bibljografja polska XVI wieku Dra Szlachtowskiego, który nad nią pracował a zawczesnym swoim zgonem nie mógł sam wydać tak ważnego dzieła, i różne bibljoteki polskie w tym celu odwiedzał, — jak jest w końcu w pierwszych już zeszytach wyszłe dzieło bibljotekarza Estreichera stu dwudziestu tysięcy druków polskich wyszłych w XIX wieku, takie mówię prace i dzieła zasługują na osobną uwagę, bo wypadałoby jeżeli jedni dają, żeby drudzy brali z téj skarbnicy literatury polskiéj, wedle potrzeby czasu i umiejętności.

Do tego rodzaju usiłowań należy także utworzenie osobnéj sekcji dla bibljografji polskiéj w kole towarzystwa naukowego krakowskiego — a ubolewać tylko przychodzi, że właśnie w tym czasie czynności i krzątania się około bibljografji polskiéj, nie mamy katedry tego przedmiotu w uniwersytecie Jagiellońskim od śmierci profesora Muczkowskiego — i że się z téj

przyczyny nie może powiększać zaciąg pracowników na tém polu w kole uniwersyteckiéj młodzieży.

Dzisiejszy dyrektor bibljoteki Jagiellońskiéj nie wykłada niestety tego przedmiotu z katedry — ale wykłada go w dziele swojém obejmującém bibljografję polską XIX wieku. Podjął on tę pracę z krytycznego stanowiska umiejętności, wprowadzając do dzieła swojego porównawczą statystykę literatur sławiańskich, która nago stawiając fakta i cyfry, daje świadectwo literaturze naszéj wśród pokrewnych plemion sławiańskich.

Dzieło to jest najważniejszém zjawiskiem naszéj literatury bieżącéj — metoda wykładu odpowiada stanowisku umiejętności i kładziemy tu tym większy przycisk na to dzieło i na prace Dra Szlachtowskiego, bo jedno nie wyszło zupełnie z druku, a drugie pokazało się dopiéro w pierwszych zeszytach.

Toż samo czeka monografja nauk ścisłych Dra Teofila Żebrawskiego dotąd na wydanie.

Jeżeli bibljografja polska musi być umiejętnością torującą drogi dla historji literatury polskiéj i jéj wykładu, to musimy tu pokrótce dotknąć tych pomocniczych nauk i umiejętności, które ze spisów inwentarzy bibljotecznych utworzyły umiejętność bibljografji.

Dwa główne działy rękopisów i druków przybierają tu w rozpoznaniu przedmiotu różne pomocnicze nauki — i nie łatwo jest oznaczyć co jest trudniejsze w bibljografji, czy rozpoznanie i ocenianie rękopisów — czy druków?

Około jednych i drugich skupia się całe koło naukowych zasobów do krytycznego ocenienia tak rękopisów jak druków potrzebnych.

Rękopisy są albo urzędowemi dokumentami — albo rękopisami nie mającemi téj cechy.

Tu tedy staje się umiejętność dyplomatyki polskiéj potrzebną. Dyplomata te mają wedle wieku, języka i władzy, przez którą były wydane, coraz inne cechy i coraz inne znamiona krytyczne.

Tu wchodzi cała grafika rękopiśmiennych zabytków, sztuka odczytywania tych charakterów, ozdobnych i zawiłych, znajomość skróceń i elizji, marginesowych ozdób i not. Część jedna tych wiadomości odnosi się do saméj formy zewnętrznéj i artystycznéj — skryptorów, piktorów i iluminatorów. Druga część znawstwa odnosi się do treści, do języka — brzmienia dokumentów, znajomości kalendarza, podług którego datowano dokumenta w różnych wiekach — a w końcu do wierzytelności dokumentu, do którego przyłożono pieczęć. Tu przybywa tedy sfragistyka, jako umiejętność nowa, która się z jednéj strony łączy z artyzmem narodu, tworzącym przejście do medalów i monet polskich, z drugiéj strony łączy się z osobną nauką — z heraldyką, to jest nauką o herbach i rodowitości.

Materjał též sam, na którym pisano, jest przedmiotem osobnych badań i osobnéj nauki, — znane tu są pargaminy i papiery — pargaminy zmywane (palimpsesty) dawnych klasycznych rękopisów, na których pisano liturgiczne księgi, kancjonały i psałterze — kodeksy tego rodzaju należą zapewne do najstarszych, tu przybywa sposób linjowania — czy ostrym tylko grafjonem, czy tuszem lub kolorami, często trzeba się uciec do wyprawy pargaminu — a w rękopisach pisanych na papierze, do materjału, z którego papier był robiony i do wodnych znaków na papierze, znanych pod nazwiskiem osobnéj nauki o filigranach.

Drugi dział bibljografji, który obejmuje druki polskie od sztuki wynalezienia druku, wydaje się na pozór do zbadania łatwiejszym — ale rzeczywiście tak nie jest, bo tu obok treści książki trzeba badać postęp sztuki drukarskiéj, historji pierwszych druków i drukarni, pierwszych drukowanych papierów i drzeworytów, — miejsce wydania, rok wydania i liczbę edycji, sposób paginacji, marginesowych not i indeksów — format, liczbę kart, ozdób drukarskich i drzeworytów — wszystko to wszakże są tylko cechy zewnętrzne; — można mieć najdokładniéj opisany rękopism lub dzieło drukowane, a nie mieć jeszcze żadnego pojęcia o ich treści — bo tytuł nie oznacza tu rzeczy częstokroć, a treść rękopismu lub dzieła odbiega częstokroć bardzo daleko od tytułu. Jeżeli tedy zadanie bibljografji nie jest łatwe, to niezawodną jest rzeczą, że ona jest pierwszą umiejętnością pomocniczą dla historji literatury polskiéj, i że tylko z tym inwentarzem w ręku można przystąpić do skarbów narodowego ducha

(Dokończenie nastąpi).

Polscy artyści w Mnichowie.

(Dokończenie.)

„Gościniec w Polsce jest motywem żywcem z natury wziętym i na razie ta prosta, wysadzona topolami droga, te symetryczne, czyste kolorowe domki nie uderzają wcale polskim charakterem. Po bliższém jednak rozpatrzeniu przypominamy sobie, iż podobne domostwa i pod naszém niebem się znajdują i widzimy, że artysta oddał je z całą prawdą i sumiennością. Motywa wchodzące w kompozycję krajobrazu, ludzie, konie wszystko to jest tak proste, zwykłe, nie noszące wybitnego charakteru swojskości, iż gdyby nie pora sama przez się poetyczna, którą to wszystko jest owiane, obrazek nie miałby żadnego interesu. Jest to wiosna — wiosna w owéj chwili kiedy na roztopach błotnych, brudnych, czarnych śnieg tu i owdzie białemi płatkami osiada; kiedy płoty połamane w zimie stoją podarte, nie mając co ogradzać, bo przez grządki zwiędłych i pokrytych zgniłém liściem ogródków wydeptano ścieżki — a wiatr włóczący się po pustych polach, szeleszczący nagiemi konarami drzew, wiejący zewsząd dopełnia tego charakteru niedbalstwa i nasuwa na myśl słowa poety: „tylko jakaś w powietrzu rozsterka.“

Takie wrażenie robił obraz na mnie — może kto inny inaczéjby go odczuł, jakby inaczéj odczuł podobną chwilę w naturze. —

Obraz ten nosił wszystkie zalety talentu Gierymskiego: zdumiewającą prawdę koloru, sumienne i skromne wykonanie, staranny, pełen prawdy rysunek i w zupełności odpowiadał założeniu, które sobie artysta postawił — to též został nagrodzony złotym medalem na tegoroczném wystawie sztuk pięknych w Berlinie.

Parę innych obrazków Gierymskiego, przedstawiających polowania i przejażdżki z epoki peruk, żabotów i fraków są rzeczami, które gdybyśmy obok pierwszych postawili, zrobilibyśmy prawdziwą ujmę ich twórcy.

W końcu dodam, iż pomiędzy całą masą naszych i obcych malarzy tu pracujących p. Gierymski zajmuje bardzo wybitne stanowisko i pod każdym względem samodzielne niehołdujące niczyjéj manjerze i gustom.

P. Chełmońskiego acz nie mającego jeszcze takiéj sławy jak dwaj wyżéj wymienieni artyści, acz, znanego tu z dwóch zaledwie obrazków, acz, ustępującego pierwszym pod względem władania trudnościami techniki — śmiało stawiam w liczbie pierwszorzędnych sił artystycznych.

Prace jego łączą w sobie wiele z cech Brandta i Gierymskiego — nad któremi góruje jego własna poezja — poezja życia człowieka — jego wewnętrznych bólów i cierpień, wesela i szczęścia. P. Chełmoński występuje zawsze z widoczną tendencją podziałania tak a nie inaczéj na widza: również jak Brandt maluje sam siebie z swemi uczuciami i sympatjami, lecz wypowiada to w formach nieprzesadnych z prawdą koloru i rysunku starannie zbliżoną do natury, czém przypomina Gierymskiego.

Postacie p. Chełmońskiego nie są blademi figureczkami lub przesadnemi typami -- nie — są to ludzie — ludzie, którzy występując w obrazku wypowiadają swoją czynnością, wzajemnym stosunkiem, twarzą i postawą całe swoje życie, wszystkie tajniki swych uczuć i myśli. P. Chełmoński zna tajniki poezji ludowéj, zna i kocha urok życia wiejskiego, prostego, szczerego i postacie spotykane w jego obrazach tchną prawdą moralnéj, wewnętrznéj treści życia ludu, jak również cech zewnętrznych obyczaju, typu i stroju.

Życie ludzkie nie jest jedném pasmem chwil bezbarwnych i zwykłych — moralna jego istota wywołuje objawy innéj poezji niż ta, którą przedstawia p. Gierymski — poezji uczuć, i myśli leżących w głębi społecznych stosunków, które są niemniéj prawdziwe i które za cel swéj pracy postawił p. Chełmoński. Idąc wbrew p. Gierymskiemu, p. Chełmoński przedstawia właśnie te chwile, w których życie człowieka nastraja się do życia natury, przyobleka się w tę samą szatę poezji co i ona — człowiek u niego działa pod jéj naciskiem — burzy się, gdy jéj na gromy się zbiera — i śmieje gdy ona okrywa się promieniami słońca....

Rozpatrzymy teraz parę obrazków jego, które widzieliśmy na wystawie.

Pod strzechą opuszczonego domostwa tuląc się do muru stoi kilka ludzkich postaci chroniących się przed deszczem lejącym strumieniami z wyżyn niebieskich — przez wypełnioną wodą przestrzeń, zaledwie widnieje czerwonym dachem kościoła miasteczko. Koń pocztowy zaprzężony w bidę z pokorą nadstawia łeb napadom nieprzyjaznego żywiołu, spływającego zeń strumieniami; jego pan, młody pocztylion miejski, wyga, z cynicznym uśmiechem, prawi tłuste zapewne komplementa stojącéj obok niego młodéj i ponętnéj żydóweczce zażenowanéj, tulącéj się do muru i uginającéj spódniczki...... kilku wiejskich chłopaków spędzonych deszczem pod jeden dach z ukosa spogląda na zawstydzoną dziewczynę — ale to inni ludzie — to proste dusze podzielające namiętności właściwe wszystkim ludziom ale bez wyrafinowanego bezeceństwa lub cynicznéj rozpusty.

Tak sprzeczne więc żywioły zgromadziła tu niemiłosierna przyroda a wszczynającą się między niemi scenę wywołała młodość i nieodłączna odj niéj...... krew: — słyszysz te słowa, które tak pieką wstydem biédną dziewczynę......

Treścią więc obrazka jest ów nigdy nie ugasający ognik namiętności — który przeżywa wszystkie reformy społeczne i polityczne, wszystkie systemata filozoficzne i pali tym samym zawsze żarem, świéci tém samém światłem ujętém tylko w różnych kolorach abażury, stósownie do sfery społecznéj, w któréj się zatli...... W prostém życiu ludu, przy najbardziéj zgodnych z naturą i normalnych stosunkach, odpływ namiętności nie tworzy owych błot, brudu, które spotykamy na miejskim bruku — w ciemnych i brudnych zakątkach, wielkich ludzkich mrowisk...... czyż trzeba daléj mówić? Nie wątpię, iż czytelnik miał sposobność przypatrzenia się choćby powierzchownego życiu ludu, objawom jego uczuć i namiętności i że zna życie miejskie w tych sferach, gdzie ciemnota i nędza paczą naturę ludzką i zabrudzają serce cynizmem i rozpustą...... stosunki te są tak widoczne w obrazku p. Chełmińskiego, iż to co o nich powiedziałem nie jest wcale moją myślą, którąbym chciał artyście narzucić, lecz w istocie jest moralną treścią jego utworu.

Drugi obrazek uboższy myślą nie ustępuje, jeżeli go nie przewyższa, pierwszemu pod względem wykonania. Ziemia wstaje ze snu, chmurna, szara, „bez promienia w oku przemokła całonocnym deszczem, który przesiąkł pola i rozlał się długą błota kałużą po drodze ciągnącéj się het! przez ukraińskie pola. — Na podróżnym wózku zmęczeni nocną jazdą, przemokli pan i woźnica zasnęli, marząc o przebytych kłopotach, o celach podróży dalekiéj...... konie nie czując nad sobą bata wloką się drzemiąc i rozglądając i medytując nad swoją niedolą. Natura i ludzie działają zgodnie, dopełniają się i tłomaczą wzajemnie: cały obrazek ma w sobie dużo wielce prawdziwéj poezji. Charaktery ludzi i koni pokazują tę samą dążność odtwarzania wewnętrznéj treści rzeczy.

Jeden i drugi obrazek wykonane sumiennie, bez żadnéj manjery nie dają pola zachwytom nad z r ę c z n o ś c i ą lub ś m i a ł o ś c i ą malowania a przemawiają do widza swoją poezją, swoją myślą.

A teraz z polskich pól i niw, z pośród naszych ludzi wstępujemy w prastarą przeszłość. — „Z gruzów powstają kolumny i stropy, śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono“..... jesteśmy w Rzymie — Rzymie, skalanym niewolą, rozpustnym i wyuzdanym, pobudzającym krwawemi widokami i cyniczną bachanalją swoje zmartwiałe ciało i umysł do życia.

Obraz p. Siemiradzkiego. —

Dziwném zaiste jest dzisiaj spotkać polskiego artystę odtwarzającego nie nasze a tak nam dalekie duchem i formą epoki dziejowe. — Lecz siła oczyniająca artystę urokiem téj lub owéj poezji leży w sferze działającéj nań od lat dziecinnych, kształcącéj jego umysł, serce i wyobrażenia.

A jeżeli kto otworzy oczy pod obcém niebem — wychował się i wyrósł zdala od ziemi rodzinnéj — znanéj mu chyba z ducha zamkniętego w księgi, lecz obcéj mu życiem ludźmi i naturą, będącemi materjałem artystycznéj pracy — to musiał pójść w innym kierunku niż ci, co pierwsze swe kroki stawiali na ojczystéj glebie, których wyobraźnia od pieluch napawała się swojskiemi wrażeniami.

P. Siemiradzki kształcił się w Petersburgskiéj Akademji sztuk pięknych, a duchem tam panującym jest tradycja sztuki Grecji, Rzymu i Włochów. Tradycja ta posunięta do rutyny cięży nad wszystkiemi studjami i nad twórczą działalnością artysty. — Sfera ta, jeżeli kto jeszcze miał grunt w sobie ku temu, musiała wyrobić zamiłowanie do pięknéj, fantastycznéj i bogatéj kompozycji, do rzucania całemi masami ciał ludzkich, do lubowania się w pięknie architektonicznych linji przepychu i bogactwie. — Życie nasze dzisiejsze nie przedstawia pola do zużycia sił, które się wyrobiły w tym kierunku — trzeba więc czerpać natchnienie z tego świata, który tę sztukę stworzył. P. Siemiradzki z tematów narzucanych mu przez Akademję w zakresie swéj działalności wywiązywał się z prawdziwém mistrzowstwem, to téż został uwieńczony wszystkiemi nagrodami, a w końcu jako stypendysta wysłany za granicę. P. Siemiradzki lubuje się w owém pięknie, co działa na człowieka jak muzyka — pięknie kształtów, linji, mass, efektów swiatła — użytych dla wywołania wrażenia tylko, malowniczości. Ostatnia praca jego przedstawia orgję rzymską z czasów cesarstwa. Światło dobywające się z jednego ogniska oświeca wspaniałe portyki pałacu. — Gladjatorowie wynoszą trupa — ofiarę świeżéj walki, a na zbroczone świeżą krwią marmury posadzki wpada orszak pół nagich kobiét i rozpoczyna lubieżny taniec — tłum pijany i roznamiętniony przypatruje się widowisku. Obraz ten, mający wielkie zalety kompozycji, pod względem wykonania wiele zostawiał do życzenia. P. Siemiradzki włada

tak rysunkiem, iż od niego śmiało moglibyśmy wymagać sumienniejszego wykończenia i opracowania. Patrząc na dotychczasowe jego prace, przychodzę do przekonania, iż w stronie oddania moralnéj treści istoty człowieka, oddania skończonych charakterów p. Siemiradzki ustępuje sobie, jako kompozytorowi malowniczych, pełnych siły i piękna mass i linji. Nie przesądzam tego zdania, bo artysta na miejscu nie stoi — im daléj idzie, tém bardziéj się rozwija i szerszy zakres życia obejmuje swoim talentem. — P. Siemiradzki dzisiaj pracuje w Rzymie nad obrazem, którego temat został mu zadany przez petersburgskich wielbicieli sztuki, a warunki, w których się wykształcił, — okoliczności, które towarzyszyły jego dotychczasowéj pracy, wiążą go jeszcze z tamtą sferą....

W każdym razie p. Siemiradzki, acz czerpiący swe natchnienie ze świata tak nam obcego, jest Polakiem i słusznie będziemy mogli go umieścić między ludźmi przynoszącymi chlubę ojczystéj ziemi. —

Kilka pejzażów p. Małeckiego pokazuje wielką wprawę malowania, władanie technicznemi trudnościami, lecz braknie im poezji i barwy. Są to mniéj lub więcéj szczęśliwie obrane motywa z natury, z których żaden jednak nie wraża się szczególniéj w pamięć, nie robi na widzu tego wrażenia, któreby przeżyło dłużéj nad czas bytności na wystawie. Szare niebo i zielone pola są motywem ciągle się powtarzającym i z rzadka ledwie możemy się tam doszukać życia i świeżości.

Z pomiędzy nielicznych prac p. Brochockiego, zanotujemy tu „Zimę“ jako obraz mający niemałe zalety i pokazujący, że p. Brochocki jest artystą ze zdrowém pojęciem natury i starającym się ją sumiennie, bez manjery odtwarzać.

Promienie krwawo zachodzącego słońca przedzierają gdzie niegdzie ciężkie i czarne chmury zalegające dolną część nieba i pokrywające urokiem okolicę pokrytą śniegiem, porosłą krzakami i grupami drzew znamionującemi bliskość borów; obława z trupem niedźwiedzim na saniach ożywia krajobraz. Obraz wykończony sumiennie, starannie, ile siły artysty pozwalały pokazuje, że, pan Brochocki czyni postępy i nie zadawalnia się raz złapanemi sztuczkami i motywami.

Imiona Streita i Kozakiewicza zawsze stoją obok siebie i zyskały już w kraju uznanie. Smutno mi, iż za ten cały rok nie mogę zaznaczyć nic z ich robót, któreby się przyczyniły do utrwalenia lub powiększenia nabytych zasług. —

Najlepszą pracą p. Kozakiewicza był „Artysta w pracowni“, któremu pozowała mała, strojna dziewczynka z kotkiem. Obrazek pokazywał, że jego twórca włada techniką, umie malować i rysować i nasuwał myśl, że ta wprawa nabyta talentem czy pracą, warta byłaby lepszego zużytkowania. — Techniczne zalety przy braku poezji, myśli, uczucia nie usprawiedliwiały tego, żeśmy się z tym „Artystą w pracowni“ na wystawie spotkali. — A szkoda!......

P. Kotsis dał na wystawę parę obrazków, z których jeden, dawniéj znany, przedstawia dziadów wracających z odpustu, pijane i cyniczne postacie nieszczęśliwe trądem moralnym i fizycznym kalectwem podchwycone z życia, lecz oddane z przesadą zakrawającą na karykaturalność.

P. Kurelli jedną zaledwie pracę mogę zanotować a i téj nie mogę przyznać zalet artyzmu. Jakaś włoska scena, wymalowana wprawdzie czysto i pięknie, ale bez życia i interesu — figury jakby z drzewa wystrugane a koloryt barwisty ani piękny ani prawdziwy.

Zanotuję tu jeszcze imiona pp. Roemera Edwarda i Chmielowskiego, lecz prac ich nie oglądaliśmy jeszcze. —

Rzeźbiarzy znamy tu dwóch zaledwie. P. Wiśniowieckiego, portret Dawisona, jeżeli był równie podobnym jak jest wykonany z życiem i charakterem, zasługuje na zupełne uznanie.

O pracach p. Jarzymowskiego nie mogę mówić, gdyż te nie były publicznie wystawiane. Praca początkującego rzeźbiarza przy ograniczonych funduszach jest bardzo trudną i ciężką;...... chwile swobodne, w których można się kształcić, trzeba okupywać kamieniarską robotą — opłacaną licho......

Na zakończenie muszę zanotować fakt miły zapewne dla artystów, lecz smutny dla naszego kraju. — Obrazy tych, co mają uznanie, zanim opuszczą ściany pracowni, są już za wielkie pieniądze zamówione i idą ozdabiać ściany angielskich i niemieckich pałaców, a kraj, nie mogący opłacać swoich pracowników, tylko z daleka cieszy się ich sławą......*)

W. M. L.

*) A cóż się stanie z dobrą sławą naszych finansowych potentatów? (Przyp. Red.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

J. Łepkowski. Sztuka, zarys jéj dziejów zarazem podręcznik dla uczących się, i przewodnik dla podróżujących. Kraków, 1872.

Gdy w roku 1764 pojawiło się dzieło Winckelmanna: „Geschichte der Kunst des Alterthums“ — sztuka zyskała swą historję. Wszystko, co o sztuce napisano przed Winkelmanem — było tylko surowym materjałem. Dopiéro Winkelmann — pisząc dzieje sztuki u starożytnych; przeprowadzając jéj dzieje od zaczątków do upadku starożytnego świata, pokazując postępy w rozwoju sztuki na tle dziejów politycznych, na tle religijnego i społecznego ustroju starożytności, nauczył — jak się powinno pojmować sztukę, — pokazał, jak należy pisać jéj historję. Wiemy, że chcąc zrozumieć pewien okres w historji sztuki, chcąc scharakteryzować dzieło artystyczne pewnéj epoki, lub pewnego narodu musimy wyjaśnić i pokazać, jakie były w danéj epoce przekonania religijne, naukowe, zwyczajowe i społeczne; jakie było urządzenie polityczne danego narodu, aby wykryć przyczynę kierunku w sztuce — aby módz wytłomaczyć dla czego tak a nie inaczéj kształtowała się ona w swoim rozwoju lub upadku. — Charakterystyka ogólno-dziejowa służyć winna za tło, za podstawę do charakterystyki sztuki — w takim tylko wzajemnym i ścisłym związku pojąć można sztukę. Tak uczynił Winkelmann — tak uczynili wszyscy estetycy i historycy po Winkelmanie, i dla tego dziś mamy już historję sztuki w powyższém znaczeniu.

Niemcy i Francuzi położyli tu ogromne zasługi.

Obok dzieł obszernych, wyczerpujących, — opartych na gruntownych badaniach źródeł, na dokładnych obserwacjach; stworzyli oni także podręczniki do historji sztuki, które w krótkich zarysach przedstawiają jéj dzieje — dla użytku młodzieży szkolnéj i szerszego koła publiczności, dla któréj mniéj są przystępne, obszerne i zmudne badania naukowe. Podręczniki te, tém większego nabrały znaczenia i doniosłości — tém pożyteczniejszemi się stały — im więcéj ogół zaczął się

zajmować sztuką i jéj dziejami; stały się nieodzownemi jako przewodniki w obszernéj dziedzinie sztuki, gdy jéj historja zyskała prawo obywatelstwa na katedrach uniwersyteckich.

Najlepsze podręczniki do historji sztuki posiadają niezaprzeczenie Niemcy; — podręczniki ich służyć mogą za wzór dla każdego, kto usiłuje napisać podobny.

Odznaczają się one zwięzłością — jasném przedstawieniem przedmiotu i dosadną charakterystyką epok; podziałem systematycznym a ugruntowanym i wybornemi, stósownie użytemi illustracjami, które unaoczniają cechy stylowe różnych epok sztuki i objaśniają tekst, który w danych razach — choćby najlepiéj napisany — nie daje jednakowoż takiego pojęcia o charakterze artystycznego dzieła, jakie dać może rycina. — Literatura nasza — dość bogata w innych gałęziach, na tém polu nie uczyniła dotąd nic — a choć się czuć dawała nagląca potrzeba takiego podręcznika, nikt się na takowy nie zdobył. Młodzi czekali przykładu z góry — wiele obiecywano sobie po naszych estetykach — spodziewano się, że który z nich napisze oczekiwane z upragnieniem dzieło — tymczasem oglądając się jedni na drugich, wszyscy milczeli — a pole leżało odłogiem.

Wśród téj ciszy opuścił prasę podręcznik p. Łepkowskiego p. t. „Sztuka.“ Nareszcie! pomyśleliśmy — i skwapliwie pochwycili wymienione dzieło, ciesząc się tém pierworodném dziecięciem naszéj literatury.

Wdzięcznym trzeba być p. Łepkowskiemu, że się nie uląkł być pierwszym — że podjął pracę, która miała wypełnić lukę w naszém piśmiennictwie — że zrobił pierwszy krok na zupełnie opuszczonéj drodze i zachęcił swojém wystąpieniem innych do pracy w tym samym kierunku.

Jakiémkolwiekby było dzieło p. Łepkowskiego —już samo napisanie poczytaném mu być musi za zasługę.

Teraz rozpatrzmy się w samém dziele, a rozpatrzmy tém uważniéj, że ono jako pierwsza wskazówka może nas poprowadzić daléj po dobréj lub fałszywéj drodze. Rozpatrzyć musimy to dzieło tém uważniéj, że wyszło z pod pióra znanego całemu narodowi pisarza; z pod pióra człowieka, który należy do niewielu przodowników duchowego i piśmienniczego życia narodu — i jako od takiego — ma naród prawo żądać dzieła odpowiedniego nazwisku pisarza.

Dzieło p. Łepkowskiego jest, jak sam w przedmowie powiada: „elementarzem znamion i dziejów sztuki“ więc za taki uważać go musimy.

Czy jako elementarz odpowiada swojemu zadaniu zobaczymy późniéj.

Dzieło swoje podzielił p. Łepkowski na 2 części, z których pierwsza obejmuje „wiadomości wstępne“, mające objaśniać istotę sztuki i jéj podział w ogóle — „zawiązki sztuki“ — „cechy i znamiona stylów“ — „zarys dziejów sztuki“ — „żywoty najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy.

Część zaś drugą mieści „skorowidz dziejów sztuk pięknych z epoki chrześciańskiéj i „wykaz miejscowości, w których są celne zabytki sztuki.“

Z podziału tego widzimy, że pierwsza część dzieła jest jego integralną częścią, druga zaś niejako dopełnieniem, objaśniającym dodatkiem pierwszéj.

W wiadomościach wstępnych podają najcelniejsi autorowie elementarnych dzieł do historji sztuki, określenia co jest sztuka; granice i przedmiot téjże; podają podział sztuki; wyjaśniają związek, jaki zachodzi między sztuką a życiem materyalném i duchowém ludzkości; wykładają uczącemu się, co rozumiemy pod filozofją sztuk pięknych a co pod historją sztuki; dają nawet niekiedy króciuchny a jasny wykład o ogólnych prawach piękności w sztuce, aby temi wiadomościami wstępnemi przysposobić uczącego się do zrozumienia dzieł sztuki i do pojęcia zmian, jakie następowały po sobie w dziejach téjże. — Wiadomości te pisane są zawsze zwięźle, systematycznie i przeglądowo; zawierają jasne określenia najpierwszych zasad o sztuce, więc dają uczącemu się gruntowne podstawy do zrozumienia dalszych ustępów.

I p. Łepkowski idąc za przykładem celniejszych autorów napisał w takim samym celu swoje wiadomości wstępne (str. 1—6. Rozdział ten napisany jest pięknie, ubrany słowami Libelta i Kremera, tylko ma jedną wadę, że jest zupełnie niestosowny do książki, która ma być elementarzem do historji sztuki. Określenia, jakie daje w rozdziale tym p. Łepkowski dla ludzi zupełnie sztuki nie znających, i dopiéro za pomocą tego elementarza mających poznać co jest sztuka, jakie jéj zadanie, jaki podział i jakie jéj dzieje — określenia te — mówimy — są niesystematyczne, niejasne, powikłane ze sobą i w żaden sposób nie mogą dać uczącemu się jasnego wyobrażenia o traktowanym przedmiocie. Zamiast dać jasne, krótkie podstawowe określenia, szanowny autor daje nam przenośnie — wykrzykniki i frazesa, Rozdziału tego uratować nawet nie mogą ustępy przytoczone z Libelta. Co gdzieindziéj byłoby bardzo stosownéin — dosadném i pięknéni — zawarte w elementarzu — traci na wartości swojéj — a rzeczy nie objaśnia.

Jakie n. p. daje autor określenie architektury — oto przytacza z Libeltem:

„Architektura jest obsłoną, skorupą, otuleniem, w którém się myśl zasklepia, zkąd dopiéro ma wyjść postać człowieka.“ (str. 15.)

„Architektura jest jakby krystalizowaniem się ducha“ (str. 16.)

Określenia te są niezaprzecznie trafne i piękne — użyte jednak jako określenia elementarne są zupełnie niestosowne. Kto z uczących się będzie miał z tego określenia jasne pojęcie o architekturze jako gałęzi budownictwa?

Tak samo rzecz się ma z innemi określeniami w tym rozdziale, nawet tam gdzie autor nie posługuje się innymi pisarzami — ale samodzielne daje określenia.

Rozdział więc ten chybił swojego celu a wiadomości wstępne do elementarnéj książki, zupełnie nie są elementarnemi.

W następnym rozdziale mówi p. Łepkowski o zawiązkach sztuki. — Dział ten opracowany starannie i obszernie — obszerniéj nawet niż tego wymagała potrzeba i zakres elementarza. Mógł był szanowny autor skrócić go — nie umniejszając jego wartości, wyrzuciwszy mniéj potrzebne ustępy, jak n. p. ów od str. 21, wiersz 23 do str. 24 wiersz 18.

W następnych trzech rozdziałach: Znamiona i cechy stylów, Zarys dziejów sztuki: Żywoty najznakomitszych budowniczych, rzeźbiarzy i malarzy: pomieścił p. Łepkowski historję sztuki. Chciał autor, aby te rozdziały razem wzięte stanowiły całość. Nie osiągnął jednak celu. — Dał nam trzy rozdziały niezwiązane jedną myślą; trzy rozprawy czy dziełka, z których każde stanowi dla siebie całość — a nie stanowi jéj w związku z drugiemi.

Rozdzielając tak historję sztuki nie dał autor pełnego jéj obrazu ale zamienił swe dzieło na zbiór encyklopedycznych artykułów o sztuce — znów na mniejsze podzielony artykuły.

Podział taki uważamy za główny błąd dzieła p. Łepkowskiego — błąd, który z elementarnéj książki naukowéj, zrobił encyklopedyczne dziełko, nie zaś prawdziwą historję sztuki; błąd, który w obrobieniu szczegółów został przyczyną wielu innych błędów.

Skreślonéj przez p. Łepkowskiego historji sztuki brakuje tła ogólno-dziejowego. Charakterystykę wieków, wśród których pojawiły się pewne kierunki w sztuce, zbywa autor kilkoma ogólnikami wcale nie charakteryzującemi ludów i czasów; — ogólnikami nie rozjaśnia-

jącemi przyczyn takiego a nie innego kierunku stylowego — lub też wcale żadnéj charakterystyki nie daje, i poprzestaje na scharakteryzowaniu form stylowych, bez podania przyczyn jakie ten lub ów styl wytwarzały.

Daléj — niema w dziele p. Łepkowskiego jednolitości obrobienia, niema téj troskliwości i miary, któraby pozwoliła autorowi ważniejsze i donioślejsze przedmiota wywieść na pierwszy plan, a mniéj ważne i nie tak wpływowe pozostawić drugorzędnemi. Brak téj miary sprawił odwrotny skutek; każe on mniéj znaczącym zabytkom zajmować pierwsze miejsce a na drugie spycha celniejsze; pozwala autorowi rozwodzić się obszernie nad zabytkami miernéj wartości, a doskonałe traktuje kilkoma zaledwie słowami.

W podręczniku naukowym powinny wszystkie kierunki i zabytki wszystkich ludów z równą obrobione być troskliwością; wszelkie zboczenia i predylekcyjne traktowanie pewnego kierunku w sztuce, u jakiegokolwiek narodu musi być autorowi poczytane za błąd, choćby pobudki takiego traktowania przedmiotu były najszlachetniejsze. Przez podobne predylekcyjne traktowanie, dzieło traci na wybitności i jasności a za to zyskuje cechę jednostronności, która za zasługę poczytaną autorowi być nie może, choćby płynęła z tak szlachetnych pobudek, jakie kierowały p. Łepkowskim, gdy w dziele swojém szczegółowiéj od innych przedmiotów opisywał zabytki sztuki polskiéj.

Są to zarzuty ogólne, przejdźmy do szczegółów.

(Dokończenie nastąpi).

TEATR.

Spełniły się oczekiwania nasze i życzenia publiczności, p. Sarnecki bowiem nie szczędząc ofiar, pozyskał p. Kleczkowską Bogdani na dwa gościnne występy, które stanowiły prawdziwie artystyczną ucztę dla tłumnie zgromadzonych słuchaczy.

Nie dawano opery, bo ta dotąd jeszcze nie mogła być zorganizowaną, natomiast wypełniano program ustępami z Żydówki, Purytanów, Fausta i Halki, oraz pomniejszemi piosnkami, w których wypróbowany w koloraturze głos łacno znajduje szerokie pole tryumfów.

Takim polem były występy goszczącéj chwilowo w naszych murach divy.

Nie przechodzimy kolejno numerów bogatego programu, krytyka bowiem w obec tak skończonéj artystki ściągaćby się mogła li tylko do paru subtelności, a szerokie rozprawy o jakości bicia trylu i metodzie przechodowéj nadawałyby się tylko do specjalnie muzycznego pisma. Dla nas wystarczy zaznaczenię, że na poznańskich deskach tylko wyjątkowo szczęśliwy los pozwala słyszeć głos tak wyrobiony, w tak znakomitéj wykształcony szkole i tak umiejętnie szafowany jak głos panny Kleczkowskiéj. Wybitną jego stronę stanowi nie tyle siła i obszar, jak czysty, metaliczny z piersi płynący dźwięk. Wzrost i spadek tonów tworzy cudną harmonję a proporcja cieniów daje całości ostatnie mistrzowskie wykończenie.

Talent p. Kleczkowskiéj nie ogranicza się, jak to zwykle w śpiewach bywa, na stronie wokalnéj; p K. jest nie tylko pierwszorzędną mezzo-sopranistką, ale śmiało powiemy znakomitą artystką dramatyczną. Akcja jéj okrągła i żywa, pełna miary i werwy rozżarza się chwilami tak głębokim, niekłamanym ogniem, że ten udziela się mimowolnie tym ze słuchaczy, którzy równo z artystką umieją myśleć i czuć.

Znany jest powszechnie niepospolity dramatyczny nerw u takich śpiewaczek jak pp. Miolan — Carvalho i Lucca, jak przed laty p. de Meric — Lablache— owoż twierdzimy, że p. Kleczkowska nie ustępuje im w tym względzie bynajmniéj, gdyby zaś można było zapomnieć o śpiewie, tobyśmy niemal pragnęli ujrzeć ją w komedji.

Z naszych miejscowych członków przyszłéj opery występowali: panna Macharzyńska i p. Koziołowski. Pierwsza jako Rachela w ustępie 4. aktu Żydówki, zjednała sobie większe niż kiedykolwiek uznanie za świetne wywiązanie się ze swéj silnie dramatycznéj partji, drugi jako Eleazar był wcale zadowalniający, natomiast jako Jontek w słynnéj arji „Szumią jodły“ z Halki nie wyrównał ani połowie zadania — modulacje jego i cieniowanie robiło mimowolnie wrażenie linji łamanéj.

Z rzędu przedstawień dramatycznych niewiele podnieść możemy. Powtórzono miluchną komedyję „Gwiazda“ obrazującą wcale interesująco dziwactwa gentlemenów angielskich z high life, w któréj zarówno pp. Grabiński i Liedke jak pani Bolechowska robią bardzo trafny użytek ze swoich zdolności, oraz powtórzono słynny lecz aż zbyt dobrze znany dramat J. Korzeniowskiego „Karpaccy Górale“, w którym pani Grabińska jako Marta niema bezspornie równéj sobie rywalki. Przedstawienie niedzielne „Karpackich górali“ nie należało zresztą do poprawnych, nietylko dla tego, że chóry śpiewały samopas, ale że personal nasz zawsze jeszcze chory na brak pierwszéj kochanki przy obsadzie dramatu często niedomaga. Nie piszemy tego, żeby sprawiać przykrość dyrekcji lub artystce, którą los prześladuje rolami pierwszych kochanek — ale dla tego, żebyśmy w przyszłości im i samym sobie przykrości téj sprawiać nie byli zmuszeni.

Pierwszym warunkiem dobrego odegrania klasycznéj tragedji jest przedewszystkiem jaka taka znajomość starożytnego świata, umiejętność noszenia tuniki i togi, które zrobione być powinny na obraz i podobieństwo tego, co przedstawiać mają, a nareszcie szanowanie płuc swoich a uszów cudzych. Bez tych trzech warunków (przemilczając 30 innych) niepodobna grać „Horacjuszów“ i im podobnych utworów, choćby nawet w małych ustępach. Sapienti sat. —

* *
*

Tak jak przez miłość prawdy i piękna w sztuce robimy niekiedy ostre zarzuty naszym artystom, tak znowu nie możemy pominąć milczeniem wyrządzonéj im krzywdy ze strony poznańskiego korespondenta do „Dziennika Polskiego“ w Nr. 4 tego pisma.

Nie chcąc ściągnąć na siebie podejrzenia, że zaczepiamy pismo tak świetnie zresztą redagowane, lub osobę jego korespondenta, nie będziemy się długo zatrzymywać nad pociesznym jego wyrokiem o personalu naszego teatru, widoczną jest bowiem rzeczą, że estetyka sceniczna jest achillesową jego piętą, że pisze o teatrze dla zapełnienia zaczętéj szpalty.

Zaliczywszy do rzędu znakomitości p. Józefa Bendę, oraz pp. Henneman i Bolechowską, zbywa korespondent dwoma słowami takie talenta jak pp. Liedke i Puchniewskiego, a p. Grabińską pomija zupełnie milczeniem, chociaż ta artystka zajmuje w żeńskim personalu bezspornie pierwsze miejsce. Pan Grabiński, według korespondenta, „zdaje się nie być bez talentu“, ale brak mu elegancji, myślącego traktowania ról a nadto głosu,

którego intonacja jest fałszywą! — Risum teneatis — wszakżeż to istne brednie zarzucać p. G. to, co go właśnie wyszczególnia. Nasi czytelnicy wiedzą najlepiéj, że p. G. zaleca się właśnie prześlicznym głosem, swobodném, salonowém znalezieniem się na scenie i niepospolicie dystyngowanemi manierami. Korespondent wyprawia p. G. na naukę do dobrego reżysera, my zaś pytamy z jakich téż to salonów, z jakich teatrów wyniósł korespondent swoje zapatrywania, które tak śmiało produkuje?

Przywykliśmy już do krytyk ścierających w proch Thiersa, Beusta, Bismarcka, Napoleona, Palmerstona etc., wiemy już jak to nicuje się na wylot wszelkie konstytucje europejskie i urządzenia społeczne środkowéj Afryki — dla czegożby prawidła dzisiejszéj estetyki nie miały być zreformowane przez naszego korespondenta?

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

— Jak się dowiadujemy, druk książki zbiorowéj „Wisła“ na cześć i dochód Pawła Stalmacha już się rozpoczął w drukarni W. Korneckiego w Krakowie. W skład téj książki wejdą prace najcelniejszych współczesnych pisarzy polskich, jak pp. Anczyca Wład. — Dr. Bełcikowskiego — Bałuckiego — Chęcińskiego — Chłędowskiego — Hr. Dzieduszyckiego Maurycego — Br. Engeströma — Dr. Estreichera — Jenikiego — T. T. Jeża — Kaszewskiego — Hr. Koziebrodzkiego — J. I. Kraszewskiego — Platona Kosteckiego — Lenartowicza — Dr. Libelta — Morawskiego Szczęsnego — Pługa — Pajgerta — Pola — Szmitta Henryka — Wieniawskiego — K. Widmana — Wilkońskiéj — K. Wł. Wójcickiego i wielu innych.

* * *

Bibliografja bieżąca:

— **Bogdanko Witold**: „Jerzy“, tragedja w pięciu odsłonach. Toruń. F. T. Rakowicz.

— **Chociszewski Józef** ułożył i wydał w Poznaniu „Małą Historję Polską dla dzieci z obrazkami“; — „Powiastki i Bajki dla dzieci“ — i „Książeczkę o zwierzętach z obrazkami dla grzecznych dzieci.“

— **„Jasełka Galicyjskie“**: Założenie Dziennika, komedja bez aktów, przez X. X. (Prz. pol.)

— **Jottrand Lucjan**, adwokat z Brukselli, znany przyjaciel sprawy polskiéj, wydał książkę p. t. „Karol Ludwik Spitthoorn. Wypadki r. 1848 w Belgji.“ (Charles-Louis Spitthoorn. Evénements de 1848 en Belgique, par L. Jottrand. Bruxelles). W dziełku tém znajduje się wiele o Polakach wzmianek bardzo ciekawych, o których, bez publikacji téj, nicbyśmy nie wiedzieli. Jest to bjografja K. L. Spitthoorna, skazanego przez sądy belgijskie za sprawę zwaną „Risquons-tous“ najprzód na śmierć, następnie na więzienie, w końcu na bannicję. Bannita powrócił do ojczyzny i umarł. Pan L. Jottrand, opisując żywot jego, dotyka stosunków, w jakich z Polakami pozostawał i spraw politycznych, w których Polacy wraz z Belgami stronnictwa republikańskiego udział brali. Czytamy wymienione nazwiska: Joachim Lelewel, K. Zalewski, L. Lubliner, Kordawski (może Kordaczewski), Worcell, Fabjan Slempiesnicz (?). Autor przytacza w całości piękny list Kazimierza Aleks. Puławskiego. Dziełko więc p. L. Jottrand jest przyczynkiem do dziejów emigracji polskiéj z r. 1831, zasługuje na to, ażeby się o nie bibljoteki publiczne postarały. (Kraj).

— **Na Dziś** wyszedł tom III i zawiera: Na Zaścianku, gawęda przez Franciszka Gumowskiego. — Pamiętniki dr. Józefa Franka, profesora uniwersytetu wileńskiego, streszczone i uzupełnione przez dr. Michała Homolickiego. — Daniel, powieść współczesna, napisał Józef Tretiak. — Naprzód, romans Spielhagena, część I. — Wizerunek poety, satyryka i mistyka z XIII wieku przez L. Siemieńskiego. — Listy A. Felińskiego, wydał J. I. Kraszewski. — Uczta Myśliwska na Beskidzie przez Wincentego Pola. — Uwagi wstępne do niektórych spostrzeżeń w przedmiocie języka przez profesora dr. Józefa Majera. — Plato i jego Rzeczpospolita przez Bolesława Limanowskiego. — Człowiek przedhistoryczny przez dr. Karóla Libelta. — Kobiéty historyczne, Katarzyna Théot przez dr. Ksawerego Liskego. — Pismo to i nadal wychodzić będzie w czteromiesięcznych jak dotąd odstępach.

— **Wrześniowski August** przetłomaczył, według niemieckiego przekładu Karola Vogta, „O przyczynach zjawisk w naturze organicznéj.“ Sześć popularnych odczytów, wypowiedzianych w muzeum praktycznéj geologji przez profesora **T. H. Huxley'a.** Praca ta wyszła w Warszawie staraniem „Niwy.“

* * *

— W księgarni Gubrynowicza i Schmita wyszedł świeżo tom „Powieści“ **Karóla Pieńkowskiego.** Jest ich trzy: Garbusek, Pamiętnik młodéj kobiéty i Następstwa, a każda z nich, jakkolwiek wszystkie lekko są naszkicowane, jest prawdziwą perełką w literaturze powieściowéj. Garbusek szczególniéj odznacza się dziwną prostotą i rzewnością opowiadania. Na kilkudziesięciu kartkach, skreślił autor dzieje młodzieńca, który na plecach dźwiga ojca grzechy, z taką prawdą, że trudno nieraz łzę utulić w oku. Pamiętnik pięknością dorównywa Garbuskowi. Dzieje młodego malarza opowiedziane są w nim z równą rzewnością, która jest cechą wszystkich utworów tego utalentowanego pisarza. Mniéj już nam podobały się Następstwa. Autor zbyt pospiesznie skteślił tę powiastkę i dla tego brak jéj artystycznéj całości. (Dz. Pozn.)

* * *

Czasopisma:

— Od Nowego Roku wychodzi w Poznaniu „**Wiarus**“, pismo dla polskiego stanu średniego.

* * *

— Numer pierwszy czasopisma litografowanego „**Promyczek**“, wydanego przez młodzież gimnazjalną krakowską, został przez prokuratorję państwa zabranym. Przyczyną ma być brak poprzedniego zezwolenia na wydawanie pisma. (Kr.)

* * *

— Wydawane we Lwowie pismo „**Rękodzielnik**“ nadal wychodzić będzie.

* * *

Sztuki piękne:

— Malarz-artysta **Walery Eljasz** mianowany został profesorem malarstwa w szkole Sztuk pięknych w Krakowie.

— **Juljusz Kossak** wykończył dwa albumy z wyprawy myśliwskiéj na niedźwiedzie. Jeden z tych albumów przedstawia widoki z polowania z Karpatach, drugi zaś szkice humorystyczne z téj wyprawy. Oba są własnością ks. Adama Sapiehy.

* * *

— **Leopold Steinmann** wykończa obecnie medaljon Wincentego Pola podług fotografji zdjętéj krótko przed śmiercią poety.

* * *

— Tłomaczenia na język rosyjski **Epidemji** dokonał p. Swieczyn. Komedja ta graną będzie niezadługo w Petersburgu.

* * *

— Komedję Benedixa p. t. „Die zärtlichen Verwandten" tłomaczy na polskie pani **Zofja Meller.**

Skrzynka do listów.

— Panu Janocie Ściborowi na Nudziarkach Wywiędłowskiemu w Wędzigłowach: Cieszy nas nad wszelki wyraz, że się Pan nareszcie zakochałeś, rozpacz nas zaś ogarnia, że miłosne Jego sonety poświęcić musieliśmy bogom podziemnym. Prosisz Pan, abyśmy Mu podali definicję miłości — bylibyśmy pragnieniem Jego mocno zakłopotani, gdyby nie dobroczynność filozofji niemieckiéj. Dzięki jéj, będziesz Pan miał żądaną definicję, oto ona:

„Die Liebe ist die Idealität der Realität, als eines Theils der Totalität des unendlichen Sein's — verbunden mit der Capudität und Carnität zwischen Ich und Du, wenn Ich und Du Er ist."

Wszelako, cóż Panu z tego przyjdzie, jeżeli jesteś na Nudziarkach, a co gorsza Wywiędłowski.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.